Suwerenna nierówność

27 sierpnia 2022

O tym, jak mizerna jest wiedza inkwizytorów poprawności politycznej na temat struktury systemu międzynarodowego przekonałem się, gdy zostałem napiętnowany za określenie Stanów Zjednoczonych „hegemonem”.

Ta komiczna sytuacja przypomina mi dawne czasy, gdy jako początkujący autor w czasach słusznie minionego ustroju nie mogłem Związku Radzieckiego nazywać „supermocarstwem”, gdyż termin kojarzył się ówczesnym cenzorom ze złowrogim imperializmem amerykańskim. A Kraj Rad nie mógł być przecież imperialistyczny. Dzisiaj podobnie reagują gorliwi i bezkrytyczni obrońcy Ameryki. Rażąca ignorancja idzie w parze z bezwstydną arogancją. Epitety i pomówienia zastępują analityczny tok rozumowania.

Do wyjątku w Polsce należą badania dotyczące hierarchii państw i zależności między nimi. Opublikowana w 2006 roku w Białymstoku książka Ryszarda Skarzyńskiego pt. „Anarchia i policentryzm. Elementy teorii stosunków międzynarodowych” wśród rodzimych badaczy spotkała się z niezrozumieniem i krytyką, choć dobitnie pokazała, na czym polegają procesy koncentracji i polaryzacji sił, uzasadniające istniejącą w każdej epoce hierarchię międzynarodową. To ten osobliwy „porządek dziobania” determinuje faktyczne położenie państw, ich status i możliwości oddziaływań. Nie można zrozumieć pozycji i ról międzynarodowych Polski, pomijając system współzależności, w którym z własnej woli i z udziałem nowych protektorów się znalazła.

„Przestrzeń stosunków międzynarodowych nie jest światem równo przyciągających się i równo odpychających się atomów. Wypełnia ją nie prosta struktura biegunowa, ale układ złożonych zależności, kształtowany przez różne siły, większe i mniejsze, ważniejsze i całkiem mało znaczące, a jednak obecne. Dlatego

uczestnicy stosunków międzynarodowych przyciągają się i odpychają wzajemnie z różną energią, której wartość dynamicznie zmienia się w przestrzeni i czasie" (Skarżyński, s. 316).

Zrozumienie mechanizmów zależności państw utrudnia idealistyczna koncepcja ich suwerennej równości, przyjęta w Karcie Narodów Zjednoczonych (art. 2.1), która odnosi się do równości formalnoprawnej, ale nie do równości materialnej. Treści tej zasady brzmią dziś anachronicznie, gdyż nie jest prawdą, że każde państwo korzysta z praw związanych z pełną suwerennością. Nigdy zresztą tak nie było. Stan formalny suwerenności państw nie pokrywał się ani ze stanem faktycznym w sferze wyboru ustroju wewnętrznego, ani w sferze afiliacji międzynarodowych. Dramat Ukrainy dobitnie pokazuje, jak stosunkowo duże państwo stało się krwawą „kartą przetargową" w grze geopolitycznej mocarstw i nie może samo stanowić o sobie.

Zarówno liberalni realiści, jak i internacjonalistyczni liberałowie są zwolennikami tezy, że państwa są suwerennie równe, z tym że w systemie międzynarodowym są „równi i równiejsi". Taki podział wynika zresztą z formalnego przywileju stałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, które posiadają: USA, Chiny, Wielka Brytania, Francja i Rosja. Jest to efekt pax victoriana, ustanowionego po zakończeniu II wojny światowej. Obecnie także inne potęgi pretendują do takiego statusu, ale póki co, ONZ pozostaje niereformowalna, a zatem i mało skuteczna. Oznacza to, że mamy naprawdę do czynienia z „suwerenną nierównością", która odzwierciedla hierarchię systemu międzynarodowego, opartą przede wszystkim na różnicy potencjałów i zdolnościach ich wykorzystania. Warto dodać, że tę „piątkę" stanowią mocarstwa jądrowe.

Internacjonalistyczni liberałowie, których najlepiej wyraża obecna administracja amerykańska, narzucają światu wizję podziału według kryterium demokracji liberalnej. W tej interpretacji rządy, które nie mają wystarczającej legitymacji demokratycznej nie mają prawa do równej reprezentacji w

systemie międzynarodowym. Hegemon amerykański decyduje o nowej linii podziału między światem mitycznej demokracji a reżimami autorytarnymi, pozbawionymi tych samych praw. Uniwersalizacja wartości Zachodu stale wymaga rozprawiania się przy pomocy siły z różnymi postaciami „zła", stawiającymi opór i broniącymi swojego stanu posiadania. W historii były to zmagania z barbarzyńcami i poganami, absolutyzmem i monarchizmem, faszyzmem, komunizmem i fundamentalizmem, a obecnie terroryzmem i autorytaryzmem. Inaczej mówiąc przez pryzmat swojego posłannictwa cywilizacyjnego Zachód ze Stanami Zjednoczonymi na czele arbitralnie przypisał sobie prawo decydowania o tym, kto zasługuje na „suwerenną równość", a kto nie.

Eliminując czy podporządkowując sobie prawdziwych czy wyimaginowanych wrogów Zachód burzy dotychczasowy porządek normatywny w stosunkach międzynarodowych, oddzielając ideologiczną legitymizację swoich działań od ich legalności w świetle obowiązującego prawa międzynarodowego. Jeśli to liberalna demokracja i ochrona praw człowieka są aksjologiczną podstawą ładu, to państwom zachodnim wolno w imię tych wartości wkraczać w sprawy wewnętrzne innych państw, narzucać rozmaite sankcje i podejmować „humanitarne interwencje", podejmować arbitralne decyzje w sprawie samostanowienia nowych jednostek geopolitycznych z naruszeniem terytorialnej integralności państw. Pod osłoną internacjonalistycznego liberalizmu powraca na arenę międzynarodową polityka siły, która cofa system międzynarodowy do czasów zimnowojennych. Jednakże nawet wtedy państwa potrafiły wypracować „reguły gry", które pozwalały utrzymywać „zbrojny pokój" w stanie względnej stabilności.

Już w początkach lat pięćdziesiątych ub. stulecia amerykański realista polityczny John Herz przestrzegał przed lekceważeniem dylematu bezpieczeństwa państw (ich obaw przed wzajemnym nakręcaniem zbrojeń i eskalacją zagrożenia), w imię demokracji i praw człowieka, bo prowadzi to politykę siły do

katastrofalnych skutków. Przede wszystkim rujnuje podstawowy mechanizm stabilności międzynarodowej, jakim jest równoważenie sił (balance of power). Dzisiejsza opozycja Chin czy Rosji wobec Zachodu wyraźnie pokazuje, że państwa są gotowe w imię obrony swojego bezpieczeństwa i stanu posiadania poświęcić wszystkie inne wartości, także pokój, dobrobyt czy reputację.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku charakterystyka systemu międzynarodowego skupiła się na koncentracji potęgi w ręku jednego mocarstwa, które ogłosiło się zwycięzcą w konfrontacji zimnowojennej. Nastał „unipolarny" moment w procesach polaryzacyjnych. Triumfalizm Stanów Zjednoczonych wyrażał się w przekonaniu, że USA są jedynym i niezastąpionym supermocarstwem, ze względu na swoją globalną odpowiedzialność polityczną, siłę militarną, potencjał ekonomiczny i atrakcyjność kulturową. Zbigniew Brzeziński nie widział alternatywy dla amerykańskiej hegemonii w perspektywie nadchodzącej generacji. Choć pojawiały się w USA koncepcje systemu policentrycznego (Samuel Huntington, Kenneth Waltz), to jednak establishment amerykański uwierzył w swoje niepodważalne i wyłączne przywództwo światowe. Wbrew przestrogom samego Brzezińskiego, Amerykanie stracili zdolność odróżniania pojęć przewagi od wszechmocy, co uruchomiło procesy niebezpieczne nie tylko dla utrzymania roli globalnego lidera, ale także destrukcyjne dla całego systemu międzynarodowego.

Za tym poszły projekcje ideologiczne o charakterze misyjnym i ekspansywnym. Polityka siły stawała się narzędziem nawracania „reszty świata" na wartości Zachodu. Liberalne hasła polityczne (w wydaniu demokratów i republikanów) często miały przykrywać naruszanie norm prawnomiędzynarodowych. Ingerowanie w sprawy wewnętrzne wielu państw poprzez „interwencje humanitarne, „kolorowe rewolucje" albo „wiosny wolności" oznaczało aktywność na rzecz „poszerzania swobód obywateli" za cenę podkopywania integralności i bezpieczeństwa tych państw w różnych regionach świata (Jugosławia, Irak, Libia, Syria). To

prędzej czy później musiało doprowadzić do wybuchu konfrontacji między zwolennikami zmian i obrońcami status quo.

Realiści politycznіod dawna przestrzegali, począwszy od Hansa Morgenthaua po Johna J. Mearsheimera, że odwoływanie się do moralności w stosunkach mię zynarodowych musi być powiązane z roztropnością polityczną, jeśli chodzi o konsekwencje działań. Liczy się zatem wybór „mniejszego zła", a nie dążenie do osiągnięcia celu za wszelką cenę. „Są granice, których przekroczenie jest niebezpieczne; przekroczywszy je bowiem, wrócić już niepodobna" (Fiodor Dostojewski). Uwzględnianie alternatywnych skutków działań należy do podstawowych reguł realistycznej i racjonalnej gry politycznej.

Zastanawia, dlaczego różni uczestnicy systemu międzynarodowego tak łatwo pogodzili się z tezą o hegemonicznej roli USA. Czy był to jedynie wynik przewagi w stosunku sił, słabości konkurentów i rywali, czy także jakiejś niefrasobliwości i łatwowierności, że wszystkie relacje ułożą się na zasadzie konsensusu (oczywiście waszyngtońskiego) i dobrej woli uczestników mitycznej „społeczności międzynarodowej"? Warunki dla przejęcia przez Amerykę pełnego przywództwa globalnego były idealne. Sprzyjała temu koniunktura gospodarcza i rewolucja technologiczna. Chiny były dopiero na początku swojego mocarstwowego wzrostu. Rosja po rozpadzie ZSRR sama była na granicy upadku. Tworząca się Unia Europejska za cenę transatlantyckich gwarancji bezpieczeństwa deklarowała wprost, że chce być wyłącznie „mocarstwem normatywnym" pod „parasolem ochronnym" USA. Pod atlantycką protekcję garnęły się też państwa dawnego bloku wschodniego, wykorzystujące osłabienie Rosji dla reorientacji swojej polityki bezpieczeństwa i związania się z Zachodem.

Mimo wiary w „łagodną" hegemonię szybko okazało się, że supermocarstwo atlantyckie nie zamierza respektować konsensualnego charakteru prawa międzynarodowego. Że samo chce w sposób jednostronny rozstrzygać różne sporne sprawy, przyjmować własne rozwiązania prawne oraz bojkotować

niewygodne organizacje międzynarodowe. Ciekawe jest to, że niewiele autorytetów międzynarodowych zaprotestowało przeciw cynicznemu wykorzystywaniu przez USA instrumentów normatywnych (wypowiadaniu porozumień rozbrojeniowych, zrywaniu umów, wymierzaniu kar, przejmowaniu cudzego mienia, wyłączaniu spod jurysdykcji swoich firm i obywateli i in.).

Stany Zjednoczone budując reputację mocarstwa hegemonicznego nie są w stanie zastąpić żadnego kolektywu, który w stosunkach międzynarodowych pełni funkcje regulacyjne. Posługują się jednak cynicznymi instrumentami uzależniania na skalę globalną i to być może jest głównym źródłem lojalności, a nawet służalczości elit politycznych wielu państw (perswazja, indoktrynacja, lobbing, korupcja, przekupstwo). Presja na rządy ze strony organizacji kontrolowanych przez USA, od agend ONZ począwszy, zwłaszcza Banku Światowego i Światowej Organizacji Zdrowia, po liczne giganty korporacyjne, prywatne banki i firmy wywiadowcze, prowadzi do ubezwłasnowolnienia rządów, ich zastraszenia i w rezultacie uległości. Tylko nieliczna grupa państw może w obecnych warunkach pozwolić sobie na sprzeciw wobec amerykańskiej hegemonii. Prowadzi to niestety do konfrontacji, gdyż każdy kto nie podziela wartości i racji hegemona, staje się jego naturalnym wrogiem. Pisał o tym Carl Schmitt, ale pomimo pewnej mody na przywoływanie tego myśliciela w polskiej publicystyce, mało kto wiąże te idee z hegemonią amerykańską.

Pochlebcy Ameryki w różnych miejscach globu zachwycają się, że eksternalizuje ona (tzn. transmituje na zewnątrz) swoje najlepsze wzory ustrojowe. Prawda jest zupełnie inna. Demokracja liberalna na naszych oczach przeżywa rozmaite kryzysy, związane z legitymizacją władzy, jej podziałem i wzajemną kontrolą, zawłaszczaniem państwa i oligarchizacją. Same Stany Zjednoczone są siedliskiem wielu patologii, związanych z naruszaniem zasad ustrojowych, przechwytywaniem realnej władzy przez niekontrolowane przez nikogo układy sił, instrumentalizacją praw i wolności, w tym wolności wypowiedzi.

Trudno uznać te wartości i wzory za godne naśladowania.

Zastanawia jednak, dlaczego ten idealistyczny, a przecież nie idealny internacjonalizm znajduje tak wielu zwolenników i propagatorów w świecie. Z pewnością jest wynikiem niewiedzy i naiwności, ale także rezultatem wyrafinowanej wojny informacyjnej i psychologicznej. Bardzo trudno jest odróżnić ślepotę poznawczą wielu środowisk od skutków zorganizowanej manipulacji i propagandy. Kenneth Waltz wskazywał na irracjonalne podłoże takich zjawisk, wynikające ze ślepego przekonania obywateli demokratycznych państw, że stoją oni po stronie dobra, ponieważ żyją w demokracjach. Demokracje mają natomiast prawo atakować innych właśnie za to, że są niedemokratyczni.

Przez lata wpajano ludziom fanatyczne przekonanie, że tylko Zachód jest strażnikiem postępu cywilizacyjnego, że na „białym człowieku" spoczywa odpowiedzialność za pokój i dobro planety. Doprowadziło to do przyjęcia ideologicznego fundamentalizmu, który stanowi podstawę liberalnego / demokratycznego imperializmu. Samo to pojęcie zawiera w sobie contradictio in adiecto (sprzeczność w przymiotniku), ale to nie przeszkadza, aby traktować je jako uzasadnienie dla amerykańskiej hegemonii. W Polsce takiej terminologii się nie używa, bo nie ma uczciwych badań amerykanistycznych. Analitycy i dziennikarze nie cytują literatury amerykańskiej, w której pełno jest odniesień do negatywnych skutków hegemonii USA dla ładu międzynarodowego. Brakuje rzetelnej diagnozy, jak ideologia warunkuje interesy elit amerykańskich, które pod maską szczytnych haseł o wolności i demokracji dążą do podporządkowania sobie kolejnych społeczeństw i państw. Elity te są niezdolne do spojrzenia na siebie oczami innych i wyciągnąć wnioski ze szkodliwych skutków swojej pychy.

Liberalny fundamentalizm prowadzi do licznych aberracji poznawczych. Przede wszystkim stawia w opozycji każdego, kto nie wyznaje wartości Zachodu. Ta metoda negatywnej identyfikacji politycznej pozwala operować manichejskim

podziałem świata na swoich i obcych, na dobro i zło. Przyjmuje się wbrew faktom, że liberalne demokracje z natury nie są agresywne. Agresywność przypisują natomiast wrogom demokracji. Przerzucanie win na oponentów jest podstawowym zabiegiem propagandowym. W świetle tej narracji wszystkie nieszczęścia są przypisywane Putinowi i jego osobistym ambicjom odbudowy Rosji imperialnej. W takim ujęciu niemożliwym jest rozróżnienie między możliwościami wypracowania kompromisu a polityką uspokajania agresora. Żaden appeasement z powodów pryncypialnych nie wchodzi w grę. Niemożliwe jest także osiągnięcie jakiegoś modus vivendi na drodze kompromisu.

Zgodnie z zasadą suwerennej równości państw prawo międzynarodowe narzuca na wszystkich wzajemne ograniczenia, aby możliwe było wielostronne koordynowanie, a nie jednostronne dyktowanie rozwiązań żywotnych problemów wspólnoty międzynarodowej, w tym pokoju i bezpieczeństwa. Tymczasem w amerykańskiej wizji świata występuje wyraźny podział na podmioty i przedmioty, na państwa będące mentorami w dziedzinie demokracji wobec tych, którzy dopiero do niej pretendują. Rosję traktuje się jako przedmiot liberalnego internacjonalizmu, co przekłada się na podważanie autorytetu władz rosyjskich w systemie międzynarodowym ze względu na niedopasowanie do wartości Zachodu.

Powrót do normalności w relacjach Zachodu z Rosją nie może więc opierać się na jakimś kolejnym „resecie”, ani na „nowym otwarciu”. Warunkiem porozumienia jest taka transformacja Rosji, aby to jej obywatele w sposób demokratyczny mogli decydować o dalszych losach ich państwa. Pod taką formułą „demokratyzacji” można rozumieć zarówno przygotowywanie z udziałem Zachodu kolejnego historycznego nieszczęścia Rosji w postaci rewolucji, jak i jej fragmentację, co na obecnym etapie wiedzy wykracza poza możliwości poznawcze.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń
Źródło: MyslPolska.info